

Bolesław Fujarczuk

Sygnatura notacji: **N0539**

Data urodzenia: **1924 r.**

Data nagrania: **22.05.2012 r.**

Miejsce nagrania: **Konsulat Generalny RP, Toronto, Kanada**

Prowadzący/y rozmowę: **Zofia Kunert, Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **39 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bolesław Fujarczuk: Urodziłem się w małej wiosce, nazywa się Romanówka. To jest w powiecie tarnopolskim, w roku 1924. Do szkoły chodziłem w miejscowej szkole, a później ostatni rok chodziłem do szkoły z najbliższego miasteczka, była siódma klasa tam, tam skończyłem szkołę, akurat w 1939 roku i miałem iść na kurs, na szkołę podoficerską lotniczą i niestety wojna przeszkodziła. Byłem przyjęty, ale nigdy nie uczęszczałem do szkoły, bo wojna się rozpoczęła i byliśmy tam do 1940 roku. W lutym, 1940 roku zabrali nas do Rosji. Mnie i moją całą rodzinę. To jest moją mamę, mojego ojca i pięciu braci, nas było pięciu. Wyjechaliśmy do Archangielska. To jest obóz w dalekim Sybirze i tam niestety mój ojciec zmarł, i jeden z moich braci. Ci, co przeżyli ten okres, to byliśmy tam prawie dwa lata, to był bardzo ciężki i gdyby tak jeszcze trzeba było zostać tam z parę miesięcy, to widocznie nikt by z nas tego nie przeżył. Po zawarciu umowy Sikorskiego, rządu w Londynie z rządem sowieckim, zwolnili nas z tych łagrów, z tego Sybiru i każdy mógł jechać, gdzie chciał. Oczywiście tam specjalnie nas do tego nie namawiali, i każdy na własną rękę musiał gdzieś jakoś uciekać, gdzie chciał. Myśmy musieli dojechać, żeby gdzieś ruszyć w świat, to trzeba było jechać do miasteczka rzeką. Rzeka się nazywała Wyczegda do miasta Koflas. I tam byli polscy przedstawiciele, którzy mieli białe-czerwone wstążki na rękawach i mówili, że się organizuje polskie wojsko na wschodzie, na południu Rosji. Tam trzeba było się dostać jakimś własnym systemem i tak się tam staraliśmy przyjechać. Przyjechaliśmy tam, to część wojska już była zorganizowana. Było oczywiście mało tych ludzi, którzy puciekali z Sybiru i z więzień, to Rosjanie pozwalali. I było powołanie do wojska, mój brat pierwszy, najstarszy został powołany, poszedł do wojska. Później zostaliśmy tylko moja mama i nas trzech braci. Także myśmy musieli własnymi siłami jakoś dostać tam, żeby nas przyjęli. Ja chodziłem do... żeby się zapisać do wojska ze trzy razy, bo oni „co ty tu mizerniaku będziesz...” człowiek po tym Sybirze wycieńczony i nie miał żadnej siły, to nareszcie go tam przyjęli do wojska, ale niestety przeżyłem

tam dwie ciężkie choroby. To jest tyfus, który był okrutny i jakoś człowiek to przetrwał, i później dyzenteria to też była duża choroba. Dużo ludzi, bardzo dużo umierało i nawet byłem... Pod koniec to byłem w takiej drużynie, którzy tych umarłych nosili do grobu ogólnego i tam przysypywali wapń i grzebali. Ostatnim transportem wyjazd na Środkowy Wschód, ja byłem w tym właśnie transporcie. To było takie szczęście, bo później ci, co zostali, byli w armii polskiej, ale w innym układzie. Myśmy z Andersem wyjechali do Pahlevi, to jest w Iranie. Później... z Iranu już byłem w jednostce, byliśmy w Iraku, przez parę miesięcy i tam byłem... Trzeba było, kto mógł i miał pełne wykształcenie, mógł się zgłosić do lotnictwa, i ja byłem jedyny z kompanii, który tam mnie ten mój oficer namówił: „w mojej kompanii nie ma nikogo, to Fujarczuk zapisz się”. I przyjęli mnie do lotnictwa, do personelu latającego, i mieliśmy podróż taką długą do Anglii, bo trzeba było jechać okrętem, to ponieważ było bardzo Morze Śródziemne zaminowane, myśmy musieli płynąć naokoło Afryki i później zatrzymaliśmy w [niezrozumiale, 00:05:52]. Tam przez trzy miesiące, bo były inne transporty, ważniejsze, to nas tam trzymali jak najdłużej, żeby zachęcić tych, co musieli tam się udać, że było potrzeba. A do Anglii przyjechałem okrętem, do Liverpool w 1942 roku. Pod koniec 1942 roku. W 1943 roku już byłem w lotnictwie i byłem przydzielony do 303. dywizjonu. To był taki bardzo sławny dywizjon, i wszyscy koledzy mi zazdrościli, że jestem w takim dywizjonie, który się wstawił w czasie bitwy o Wielką Brytanię. Tam pracowałem przy centrali telefonicznej, która załatwiała... Jak były na przykład loty bojowe, przechodziło do centrali, trzeba było tam zawiadomić pilotów, którzy powinni się zgłosić do dispersalu, skąd w czasie lotu oczywiście odlatywali. To było moje zajęcie przez dłuższy czas. Miałem szczęście poznać dużo polskich pilotów, takich asów, którzy jak Skalski, Falkowski, Krasnodębski. Tych wszystkich, miałem takie szczęście po prostu ich poznać. Oni, ponieważ ja byłem młody, to byli dla mnie ludzie, którzy wpłynęli bardzo dodatnio na moje podejście do całego życia, bo to byli oficerowie o dużym, szlachetnym charakterze, wychowaniu, jeszcze sprzed wojny. I tam byłem w 303. dywizjonie, wyjechaliśmy pod kanał La Manche przed inwazją. Tam ciekawa sprawa była, bo jeszcze jak inwazja się zaczęła, byłem przed kanał La Manche i kiedy samoloty bombowe leciały z ładunkiem na Europę, na Niemcy szczególnie, to nasze samoloty, którymi nasi piloci latali, to są Spitfire mieliśmy, to oni osłaniali tę całą, ten duży dywizjon samolotów bombowych i był taki okres czasów, dzień, kiedy inwazja się zaczęła, to z rana wyszedłem z namiotu na wieżę, zobaczyć to. To była fala samolotów, tak daleko człowiek mógł spojrzeć z jednego końca na drugi, to były, leciały na Niemcy i z jednym zwartym szykiem, bardzo to było zorganizowane, z powrotem oczywiście leciały samoloty różnie. Jeden, po paru w dywizjonie w zwartym szyku, a niektórzy wracali, bo to był duży napad. Tam byłem do końca głównego napadu, inwazji i stamtąd był odkomenderowany do szkoły personelu latającego i stamtąd odszedłem, i tam przeszedłem kurs nawigatorów radiowych i zostałem do końca wojny w dywizjonie, już po skończeniu kursu, czekaliśmy na przydział do dywizjonów bombowych i wojna się skończyła. Ja po wojnie byłem przydzielony do dowództwa pierwszej grupy bombowej, w której tam było trzech Polaków i pracowałem przy telegraficznych... Były telegraficzne przyrządy różne, takie nowoczesne do samolotów, i tam nawet jak podprowadzaliśmy, to była taka nie wycieczka, ale samolotów angielskich do Ameryki jako... To był taki dywizjon, który leciał podziękować Amerykanom za ich wkład. Ja byłem przy tym jak żeśmy ten dywizjon odprowadzali tak długo, jak mogliśmy mieć kontakt radiowy z nimi.

Zofia Kunert: Czyli pan był w personelu naziemnym cały czas, bo pan nie latał, tylko był w personelu naziemnym.

Bolesław Fujarczuk: To był personel latający. Skończyłem kurs personelu latającego.

Zofia Kunert: Czyli po tym kursie już pan był w personelu latającym, a wcześniej był pan, jeszcze w czasie inwazji był pan w naziemnym.

Bolesław Fujarczuk: Tak.

Zofia Kunert: Rozumiem.

Bolesław Fujarczuk: I tam zostałem do... Później, kiedy wojna się skończyła i niestety nie mogliśmy wracać na samolotach, tak jak mieliśmy do Warszawy, zostaliśmy przydzieleni do tak zwanego PRC, to był taki związek przysposobienia cywilnego. To się nazywało PRC po angielsku. Tam zostałem do 1949 roku, gdzie pracowałem w kancelarii demobilizacyjnej. Żeśmy ocalali ludzi po całym świecie. Do Australii, do Ameryki, do Meksyku, do Afryki. Wszędzie... Ja, jak się wszystkich odesłało, zwolniło się z wojska, to ja się musiałem sam zwolnić i przyjechałem tu do Kanady, akurat bo mój brat tu był i moja ciotka. To przyjechałem tu w mundurze, jeszcze miałem trzy miesiące urlopu. To był taki... Już okres zaczął się ten powojenny.

Zofia Kunert: Ale jak pan pracował w tym korpusie, powiedzmy takim... Przysposobienia i rozmieszczenia, jakie były nastroje? Bo pan powiedział, że ci oficerowie, ci pilocie jeździli po całym świecie. Czy byli też tacy, co wracali do Polski?

Bolesław Fujarczuk: Było ciężko... Ci, którzy wrócili, na przykład Skalski wrócił do Polski, później był wywieziony i skazali go na karę śmierci, tam później go zwolnili. I ja w Polsce po wojnie byłem dużo razy i rozmawiałem z różnymi ludźmi, z tymi, których znałem i takich nieznajomych, to z ich opowiadania to, ci którzy byli na zachodzie u Andersa czy w lotnictwie polskim, byli bardzo...

Zofia Kunert: Szykanowani.

Bolesław Fujarczuk: Tak i nie mogli dostać pracy. I byli po prostu jakoś jakby drugiej klasy obywatele.

Zofia Kunert: Ale na to, że pan wrócił, znaczy nie chciał pan wrócić do kraju, to rozumiem, że służba w lotnictwie miała wpływ, ale czy gdyby na przykład się okazało, że pana rodzinne strony nadal są w Polsce, należą do Polski, to wtedy by pan się zdecydował czy nie, czy przesunięcie granic też miało tutaj... Jak to wyglądało?

Bolesław Fujarczuk: Miałoby dużą różnicę, bo miejsce to, w którym ja się urodziłem, oczywiście zostało przydzielone do Rosji. To miało duży wpływ, ale drugi powód był taki, że mój ojciec przed pierwszą wojną światową był w Kanadzie i jak wojna, pierwsza wojna światowa się rozpoczęła, on wrócił do Polski, walczył tam w tych, no, u Piłsudskiego. Konrad Starczewski: W Legionach.

Zofia Kunert: W Legionach.

Bolesław Fajarczuk: W Legionach. I może dlatego nas zabrali do Rosji, bo widzieli to – gość, który był w Kanadzie może być szpiegiem czy coś, ja nie wiem, czy to był powód, ale podejrzewaliśmy, że to mógłby być powód.

Zofia Kunert: Bo tata był potem, w okresie międzywojennym, kim? Był oficerem czy nie?

Bolesław Fajarczuk: Nie. On był... Mieliśmy tam kawałek ziemi i on był akurat wójtem tam naszym. To on zajmował się taką polityką lokalną.

Zofia Kunert: To już odpowiedź, dlaczego od razu został zabrany, pomijam już to, że był w Kanadzie, ale był po prostu przedstawicielem miejscowej elity, tak można powiedzieć, prawda? Czyli w pierwszej deportacji już od razu trafił.

Bolesław Fajarczuk: W pierwszej, 10 lutego w 1940 roku.

Zofia Kunert: A jeszcze wracam na chwilę do tej Syberii, tam była praca w kopalniach czy ...

Bolesław Fajarczuk: To było w lesie. Praca była bardzo ciężka, ja miałem 16 lat, pracowałem z dorosłymi ludźmi bardzo ciężko i byłem... To były prawie nie do wytrzymania warunki. Nie było, nie można było się w co ubrać, bo nie było, bo przywieźliśmy takie rzeczy, które oni nam powiedzieli: „Nie bierzcie nic stąd, bo tam wszystko będzie”. I to podróż była 30 dni, na ten Sybir, to się człowiek wykończył prawie już samą jazdą.

Zofia Kunert: A ojciec i najstarszy brat umarli właśnie z wyczerpania czy z chorób?

Bolesław Fajarczuk: Ojciec... Nie najstarszy brat, to był czwarty brat z kolei. Ojciec umarł na gangrenę, pracował na rzece i skaleczył sobie nogę, tam nie było opieki lekarskiej i dostał gangreny, i umarł. A młodszy brat umarł z głodu, z wycieńczenia.

Konrad Starczewski: A jak ojciec miał na imię?

Bolesław Fajarczuk: Józef.

Konrad Starczewski: A brat?

Bolesław Fajarczuk: Brat Bronisław.

Zofia Kunert: I teraz wracamy jeszcze do okresu już powojennego. W 1949 roku trafił pan do Kanady i co się dzieje dalej?

Bolesław Fajarczuk: Był jeden brat i drugi w Kanadzie, to byli ci, którzy byli u armii Andersa, i ponieważ była mojej mamy siostra, to ona zaopiekowała się nami, i mój wujek z Ameryki, mieliśmy taki dobry początek, jeśli chodzi o gdzieś się zatrzymać, bo człowiek nie miał ani pieniędzy, ani gdzie mieszkać. Ja tam mieszkałem trzy miesiące u ciotki i żeśmy kupili pierwszy dom, wzięliśmy pożyczkę i zebraliśmy te pieniądze, które mieliśmy, moi bracia i ja, odprawę wojskową.

To taki łup wojenny. I kupiliśmy pierwszy dom, to mieszkaliśmy tam. Moja mama i nas czterech, a reszta, część tego domu, największą część wynajmowaliśmy dla kolegów, dla weteranów i to był taki dom weterana tam przez jakiś czas. To był czas... I pracowaliśmy, gdzie można było dostać pracę. Ja z początku pracowałem, bo z pracą było ciężko po moim przyjeździe, bo pracowałem w tak zwanym ... operation. To jest przy takich ciężkich... W takiej odlewni. Bardzo gorącej i bardzo ciężko praca. Tam zgubiłem dziesięć funtów chyba za jakieś trzy miesiące, ale to potrwało krótko, bo się praca skończyła, byłem zwolniony i żeśmy tak pytali, co mogliśmy, a później pracowałem jakiś czas jako real estate seler, to znaczy sprzedawca nieruchomości i wtenczas zaczęliśmy myśleć, wujek nasz z Ameryki bardzo namawiał nas, żeby nie pracować dla kogoś, ale zacząć coś dla siebie robić i zaczęliśmy budować pierwszy dom. Kupiliśmy dwie parcele na budowę domu. Wybudowaliśmy jeden dom własnymi rękami, później następny, a już wtedy drugi etap to budowaliśmy dziesięć domów. To się brało pożyczkę i braliśmy, i pracowaliśmy dosyć ciężko, bo to sami wszystko robiliśmy, tylko czego co nie mogli, ale takie rzeczy, co stolarki i czy żelbeton czy coś, to samo robiliśmy. I później żeśmy wybudowali 68 domów. To było takie... Myśmy szli bardzo szybko, i może okres był odpowiedni, ale myśmy znali, ja znałem język angielski, bracia też i byliśmy młodzi, i chętni do pracy. I z czasem już prowadziliśmy dużą firmę budowlaną. Tutaj w Mississauga to było, się nazywało [niezrozumiałe] miejsce, byliśmy chyba najwięksi, jeśli chodzi o budowę. Budowaliśmy dużo domów mieszkaniowych, później przenieśliśmy się na apartamenty, wybudowaliśmy chyba z dziesięć dużych budynków, ponieważ nie mieliśmy tyle pieniędzy, to musieliśmy sprzedawać część, żeby budować następne. W pewnym czasie mieliśmy często ludzi, którzy pracowali dla nas. Zatrudnialiśmy w każdym, gdzie tylko było można Polaków, i no, oczywiście później jak zaczęła, weszła kontrola na mieszkaniowe apartamenty, gdzie rząd kontrolował, za ile rentować, ile ceny, myśmy się przenieśli na budowę do industrial i commercial, to znaczy budowaliśmy domy dla interesu, albo takie, różną budowę prócz mieszkaniowe.

Zofia Kunert: Czyli jakieś biurowce, jakieś magazyny, coś takiego, tak?

Bolesław Fajarczuk: Tak, tak, tak. I to nas było trzech, trzech, bo brat mój, ten najstarszy brat, który walczył pod Monte Cassino, umarł bardzo szybko, 42 lata miał. To myśmy we trzech to prowadzili i później wybudowaliśmy pole golfowe, przy którym jesteśmy właścicielem, jeszcze dwóch takich i teraz młodsze pokolenie to obejmuje.

Zofia Kunert: A proszę powiedzieć, bo pan tak dosyć szybko przeszedł do porządku dziennego nad sprawami dzieciństwa. Powiedział pan, że się pan urodził w Romanówce w tarnopolskim. Jaka wtedy tam, co pan zapamiętał z dzieciństwa? Jakie były stosunki społeczne, czy to była wieś głównie polska, czy byli Ukraińcy, czy byli Żydzi, jak to wyglądało?

Bolesław Fajarczuk: To była przeważnie wieś ukraińska, bo większość Ukraińców, Polaków było może mniej, i dużo Żydów, w miasteczku było dużo Żydów. Stosunki były tam, to były mieszane małżeństwa i tam jakoś nie było takich dużych zatargów, ale jednak była taka jakoś głęboko zakodowana nienawiść do Ukraińców tam jednak była, bo myśmy tam, mój brat należał do Strzelców. Jak wojna wybuchła, to jego powołali, żeby pilnować mostów, ale na ogół to później Ukraińcy zaczęli, jak Rosjanie wkroczyli, to oni zaczęli oczywiście myśleć, że to teraz będzie Ukraina i oni raczej... To akurat nas zabrali do Rosji, to może szczęście, bo ponieważ ojciec był wójtem i myśmy należeli do tych polskich organizacji, to z tego, co słyszałem, to może byśmy nie ocaleli. To był taki, jak powiedzieć, blessed in the sky.

Zofia Kunert: A to miasteczko koło Romanówki, najbliższe, jak się nazywało?

Bolesław Fajarczuk: Szczurowice i Łopatyn. Chodziłem do szkoły w Łopatynie i tam byliśmy dwa lata temu, bo koło tej szkoły był polski kościół i w czasie wojny, w czasie za Rosjanów, to ten kościół był tam jako magazyn. Po odzyskaniu, po tym jak już komuniści się pozbyli tego, tych już nie było, to Polacy wystali księdza tam do Łopatyna, żeby odnowić ten kościół i myśmy się dołączyli tam do tego i dwa lata temu byliśmy na otwarciu, myśmy tam postawili bramy, płot tam i to było otwarcie tego, to ja byłem tam na tym otwarciu, nawet bardzo taki, w Polsce był nawet program, to jest, takie było dziedzictwo, pod nazwą chyba Dziedzictwo Wschodnie czy coś takiego. I był mój brat, i mój syn, który jest w Ottawie, był tam z chórem 40 osób, to było takie uroczyste otwarcie tego... To jest taki mój wkład do zatrzymania polskości.

Zofia Kunert: I ten polski ksiądz tam nadal jest?

Bolesław Fajarczuk: Nadal jest. Są Polacy.

Zofia Kunert: Są Polacy na miejscu.

Bolesław Fajarczuk: Tam jest paru, oni oczywiście nie wszyscy rozmawiają po polsku, bo tam teraz po ukraińsku rozmawiają, ale była bardzo duża uroczystość, i bardzo kościół był pełny.

Zofia Kunert: A mama przed wojną zajmowała się tylko domem czy też czymś jeszcze?

Bolesław Fajarczuk: Domem, bo nas było pięcioro, to musiała wychować pięciu..

Zofia Kunert: Miała co robić.

Bolesław Fajarczuk: Miała co robić.

Zofia Kunert: Ale wtedy rodzice mieli jakieś swoje duże gospodarstwo?

Bolesław Fajarczuk: Nie duże, takie średnie. Tam ojciec kupił majątek od Chorodyńskiego po wojnie, to Chorodyński to był hrabia, który parcelował te swoje ziemie i ojciec tam kupił na Romanówce kawałek tej ziemi. To nie było duże, ale...

Zofia Kunert: A jeszcze wracając do spraw związanych z wojną, powiedział pan, że po amnestii po tym układzie Sikorski-Majski, trzeba się było przeprowadzać na własną rękę. Czy dostali panowie, bo rozumiem, że i bracia też się tam do tej armii Andersa dostawali, coś na drogę, jakieś pieniądze na bilet pociągiem?

Bolesław Fajarczuk: Nic.

Zofia Kunert: To jak to wyglądało?

Bolesław Fajarczuk: To wyglądało tak, że każdy musiał na własną rękę jakoś działać, to się wskakiwało do pociągu, jechało się na gapę, kiedy można było i jak, i człowiek był tam, powiedzmy, w pewnym czasie to był wojskowy pociąg, rannych wioził tam z frontu, tych żołnierzy rosyjskich, to się wskakiwało tam z nimi gdzieś na schodkach czy gdzieś się przyczepiło, i się jechało. Grunt, żeby jechać tam na południe. To każdy musiał na własną rękę.

Zofia Kunert: A stosunek miejscowej ludności do was, Polaków, takich zwykłych ludzi, jaki był wtedy?

Bolesław Fajarczuk: Myśmy byli, jak szczególnie zapamiętałem tam na południu w Uzbekistanie, to tam Tatarzy byli. Oni bardzo... Moja mama... Myśmy nie mieli z czego żyć, to musiała chodzić tam po tych kołchozach i sprzedawać, co mogliśmy. Ja pamiętam, miałem taki rycerski pasek, to trzeba było sprzedać coś, żeby kupić jakieś coś do jedzenia. Tam było bardzo ciężko, ale oni zawsze coś, bo oni sami nie mieli, ale zawsze pomogli. Mama tam chodziła do nich po prostu prosić o kawałek chleba. To oni byli raczej tacy, że pomogli tym, co mogli. Pracowaliśmy tam w tym, czekając tam na to powołanie do wojska, żeby się tam dostać, bo nie było miejsca, to była... nas zawieźli, trzy dni, do pracy przy... To jest... Cotton, to jest...

Zofia Kunert: Bawełna.

Bolesław Fajarczuk: Bawełna. I tam pracowaliśmy może ze sześć tygodni i później jak jeszcze było miejsce, to nas przywieźli z powrotem do tego miasteczka, i żeśmy znowu poszli tam do jakiegoś kołchozu i stamtąd każdy z osobna naprzód poszedł... Mój brat był już, najstarszy, wzięty do wojska, ja poszedłem i jakoś tam się zaczepiłem. Później mój brat został, a moja mama w tym kołchozie i mój najmłodszy brat to żołnierz, który przyjechał po swoją rodzinę, zabrał moją mamę z moim bratem. To oni zostali, mój najmłodszy brat i moja mama byli w Indiach w czasie tej wojny, w tych obozach.

Zofia Kunert: Tego dobrego maharadży, który tam im pomógł. Rozumiem. Dobrze, a teraz jeszcze proszę troszeczkę nam powiedzieć o tym okresie właśnie na tym środkowym wschodzie, bo wiadomo, że byli panowie, był pan wycieńczony po okresie łagrów, czy były jakieś szkoły takie, nie tylko wojskowe. Przecież to byli młodzi ludzie. Jak trzeba było maturę robić, coś takiego.

Bolesław Fajarczuk: To były takie szkoły. To później już po moim czasie, to byli tam, którzy zostali młodszy, którzy nie wyjechali do Indii czy do Afryki, to zostali tam w szkole, ale ja nie miałem tych oddziałów, bo ja już byłem w wojsku i byłem w Anglii w tym czasie.

Zofia Kunert: A powiedział pan też, że po przyjeździe do Kanady ten pierwszy dom został zakupiony za taką odpłatą wojskową.

Bolesław Fajarczuk: Tak.

Zofia Kunert: To rozumiem, że to wypłacił rząd brytyjski.

Bolesław Fajarczuk: Tak.

Zofia Kunert: Czyli panowie zostali potraktowani jak normalni weterani wojskowi.

Bolesław Fajarczuk: Weterani, tak. Były małe, powiedzmy ta odprawa stosunkowo mała, ale to myśmy musieli też pożyczyć pieniądze, żeby ten dom kupić, ale to się zaczęło od tego tak bardzo dobrze, bo jak żeśmy się zaczęli zenić powoli, to trzeba było jakoś ten dom sprzedać, bo każde chciało iść w swoją, musiał założyć swoje jakieś gniazdko, to żeśmy kupili ten dom za 6 tysięcy, a sprzedaliśmy za 12. To jest właśnie miejsce, gdzie trzeba iść robić interes i od tego się zaczęło. W ten czas polskie nazwisko to zawsze było, w tym czasie to była inna Kanada niż teraz.

Zofia Kunert: To znaczy?

Bolesław Fajarczuk: Znaczy, że stosunki były takie, nie takie jak teraz, że wszyscy są uprawnieni do tego samego. Fajarczuk za dobrze nie wychodziło, bo nie mogli wymówić. To jak myśmy... Jak trzeba było zamówić, powiedzmy, furę drzewa, to myśmy skracali nazwisko, że „Fej”, żeby było... Bo dopóki mu przeliteruje, to ja chce już mieć to drzewo na budowie.

Zofia Kunert: Dobrze, a teraz proszę o swojej rodzinie, tutaj tej kanadyjskiej jeszcze powiedzieć.

Bolesław Fajarczuk: Się ożeniłem tu w 1950 roku z Kanadyjką pochodzenia macedońskiego. I muszę powiedzieć, że jednak jeden z Polaków, czuję się bardzo taki dumny z tego, że potrafiłem dzieci swoje wychować w duchu takim polskim. Syn jest prezesem [niezrozumiałe] to jest dom starców, który jest z Polski i prowadzony przez Polaków. To jest dom taki spokojnej starości, jak to nazywają. To mój syn jest prezesem, a dom kultury Jana Pawła II jest też w Mississauga, przy kościele Maksymiliana Kolbego. A myśmy byli bardzo złączeni, jeśli chodzi o kościół Kolbego. Mój ten najmłodszy brat był przewodniczącym budowy i byliśmy włączeni też do kościoła w Brampton. To dopiero otwarty był w tym roku. Ja jestem prawie od początku, jak przyjechałem tu, to w 1951 roku się zapisałem do Skrzydła Warszawa, które było bardzo aktywne i nadal to towarzystwo niestety poumierało, ale byłem cały czas członkiem, bo mieszkaliśmy tutaj w Toronto, w pobliżu i należałem do Skrzydła, pracowałem tam na różnych stanowiskach. Nie brałem takiego dużego udziału jak bym chciał, bo byliśmy zaangażowani bardzo głęboko w interesie, i budowy w kościele, i to... Także... I dzieci wychowanie, także było dużo takiego zajęcia.

Zofia Kunert: To ile ma pan dzieci?

Bolesław Fajarczuk: Mam troje dzieci. Mój starszy syn jest wiceprezesem Atomic Energy of Canada. Pracował dla rządu, jest adwokatem, a mój syn, ten, co tutaj był, to jest, pracuje u mnie w kompanii i córka moja, także ja mówię, jestem dumny z tego. Mamy weterańskie uprawnienia przez rząd, takie same warunki są jak weteranów kanadyjskich. Także jeżeli ktoś jest chory, nie może sobie pozwolić, jest szpital wojskowy, były dzieci, które potrzebują opieki – jest

na to miejsce. Także te stosunki są bardzo dobrze załatwione. Ja należę do takiego zrzeszenia lotników kanadyjskich, i ja dostaję od nich zaproszenie na różne uroczystości bo to jest, prócz tego, że my mamy Skrzydło Warszawa, jako Skrzydło Polski tutaj, to jest zupełnie polska organizacja, a oprócz tego jest zrzeszenie lotników kanadyjskich, do których ja należę. To nie wszyscy należeli. Przed 1 września były właśnie takie wiadomości, ja oczywiście byłem mały, tym się nie interesowałem, ale wiadomo, z opowiadania ojca, z jego rozmową z innymi sąsiadami także było wiadomo, że wygląda tak, że wojna jednak będzie. Wszędzie było ogłoszenie, że tam w Szczurowicach koło nas, w miejscowości był pomnik w centrum miasta i właśnie ten burmistrz, ten major tego miasta powiedział, że Rosjanie idą nam na pomoc, się nie martwmy, bo to się bardzo dobrze ułoży, a to rzeczywiście za parę dni dowiedzieliśmy się, że to nie na pomoc idą, tylko idą nas podbijać. To była taka bardzo, raczej bardzo smutna rzecz.

Zofia Kunert: A Ukraińcy na początku, i Żydzi miejscowi, jak witali tę Armię Czerwoną?

Bolesław Fajarczuk: Oni oczywiście witali ich z otwartymi rękami, bo to oni wiedzieli, że to, że oni odzyskają, Ukraińcy Ukrainę, a Żydzi szli tam, gdzie im lepiej było.

Zofia Kunert: Czy wtedy właśnie w tym momencie były jakieś takie wypadki, że nie wiem, Ukraińcy czy Żydzi napadali na sąsiadów polskich czy nie było czegoś takiego?

Bolesław Fajarczuk: To jeszcze nie było do tego stopnia. W tym czasie, dopóki nas nie zabrali na Sybir, tego nie było. Tam oczywiście jak tylko Rosjanie wkroczyli, to Ukraińcy objęli stanowiska miejscowych urzędów. Oni tak to myśleli, że to do nich będzie należeć. Zrobili zebranie tam w takim jednym pomieszczeniu i ogłosili, że my jesteśmy wolni, znaczy z tych łagrów, ale raczej nie namawiali, nie mówili, że był... Raczej mówili, że powinniśmy tam zostać, bo jest wojna i wy wyjdziecie, a my tu potrzebujemy robotników do pracy. Tam była ciężka praca i to była taka sprawa, że każdy chciał uciec jak najszybciej. Było przede wszystkim bardzo zimno, i chcieliśmy do ciepłego. Człowiek trwał, jak tylko mógł.

Konrad Starczewski: Jeszcze mam pytanie o Katyń, kiedy pierwszy raz usłyszał pan to słowo i kiedy pierwszy raz spotkał się pan z tą sprawą zbrodni katyńskiej?

Bolesław Fajarczuk: Zbrodni katyńskiej to będąc w Anglii. Już były wiadomości, ja wiedziałem o tym, będąc w lotnictwie.